ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Marca. № 11. Roku 1859.

Założenie państwa Kentucky.

Według dzieła niemieckiego: „Pierwsi Amerykanie na zachodzie.“

(Ob. Nr. 9. 10. Rozmaitości.)

III.

(Dokończenie.)

Pierwsze okolice nowej krainy.

Taki był stan Kentucky, kiedy pierwsi osadnicy weszli do kraju, którego od całych stóleci żaden stale nie zamieszkał człowiek, a gdzie bardzo rzadko tylko zaganiał się któryś z dzikich szczepów sąsiednich.

Słusznie też napisał pierwszy geograf Kentucky, Filson, w roku 1783.: „Na szerokim obszarze, niemal o 100.000 mil kwadratowych objętości, znajduje się najosobliwszy kraj, jaki kiedykolwiek oświetlały promienie słońca.“ W samej rzeczy bowiem nie było w Ameryce drugiej bezludnej krainy takich rozmiarów i takiego bogactwa natury, jak błogosławiony kraj zielonej trzciny.

W innych stronach dzieliły zazwyczaj dwa nieprzyjazne sobie szczepy indyjskie niedostępne góry lub dzikie puszcze, gdzie zaś między jednem i drugiem plemieniem rozpierały się żyżne krainy, tam staczały się nieustanne boje. Tylko kraina zielonej trzciny odstręczała jakoś zarówno północne jak i południowe szczepy indyjskie i stała się w całem znaczeniu tego słowa samodzielnem królestwem zwierząt.

Napotykane w różnych stronach sztuczne wzgórza, gdzie jak się zdaje starożytne stały świątynie, tudzież znachodzone tuowdzie naczynia gliniane i inne zabytki niepamiętnych wieków świadczyły, że niegdyś i w tym kraju przebywał lud, który oświatą przewyższał o wiele późniejsze szczepy sąsiednie.

Jak wiadomo odgrzebywano później w Kentucky szerokie płyty miedziane, które niegdyś służyły za puklerze, a dowodziły swem obrobieniem, że dawniejsi mieszkańcy umieli obchodzić się z kruszcami, sprowadzanemi prawdopodobnie kanadyjskiemi wodami. Szczególniej zaś uderzały ruiny dawnych fortyfikacyi, najlepsze dowody, że pierwotni mieszkańcy musieli zajmować o wiele wyższy stopień oświaty, niż napotykane później w sąsiedztwie szczepy indyjskie.

Wysłany w roku 1798. na zwiady do północnej Ameryki francuski jenerał inżynieryi Collet, utrzymywał w swem sprawozdaniu (ogłoszonem drukiem w r. 1826.) że dawne fortyfikacye w Kentucky musiały być dziełem Hiszpanów, niepodobna bowiem przypuścić aby pierwotni mieszkańcy mogli posiadać taką doskonałość w budownictwie wojennem, o jakiej świadczyły ruiny pewnej starożytnej warowni. Collet mniemał, że pierwsi przychodnie hiszpańscy musieli znać te okolice i że pozostałe ruiny są tylko śladami ich pobytu. Dowiedziona jest tymczasem niezbicie rzeczą, że jedyna większa hiszpańska wyprawa do krajów nad brzegami Missisipi nie szła przez Kentucky, ale przez dzisiejsze państwa Alabama i Missisipi.

Kiedy jednak zaginęli, gdzie się właściwie podzieli i jakiego rodzaju byli owi pierwotni mieszkańcy Kentucky, tego dotychczas nie

odgadli historycy. Przypuszczają tylko, że początkowa ludność krainy, wygasła jeszcze na kilka stoleci przed przybyciem Kolumba.

IV.

Dalsze właściwości kraju.

Wszystko to, co dotychczas widzieli podróżni, przejmowało ich podziwem i zachwyceniem, a przecież co krok nowe jeszcze osobliwsze odsłaniały im się widoki i cuda natury.

Idąc dalej na zachód za biegiem rzeki Kentucky, stanęli na rozległej wyżynie, przerzniętej mnóstwem strumyków, bogatej w wielkie acz płytkie jeziora i góry wapienne. Góry te przedzielały po niektórych miejscach szerokie i głębokie rozpadliny, tak regularne w swych kształtach, jakgdyby wykute ręką ludzką.

Gdzieindziej rozszerzały się nagle brzegi małego strumyka na kilka mil w szerokość, tworząc płytkie i grząskie jeziora lub moczary, a w pobliżu wznosiły się olbrzymie drzewa, otoczone różnemi rodzajami powojów, zarosłe dokoła drobnemi a gęstemi krzewy.

Widać tu było miejscami śród nieprzebitej gęstwiny najróżnorodniejsze gatunki drzew w bliskiem z sobą sąsiedztwie. Obok jadowitego sumaka (*Rhus venenata*), którego sam wyziew działa zgubnie na ludzie i zwierzęta, rósł krzew butelkowy (*Ancona triloba*), nazwany tak od swych owoców, podobnych do małych buteleczek lub zgrabnie wygiętych ogórków, które wychylają się z pośród niezmiernie gęstych gałęzi, a dojrzałe służą za smaczne, soczyste pożywienie.

Tuż zaraz wznosił się pożądany skwaterom krzew świeczkowy (*Myrica cerifera*), którego drobne jagódki zawierają w sobie tyle substancyi woskowych, że z nich żony osadników sporządzają świece.

Ponad temi niezbyt wysokiemi krzewami wznosił się ważny zarówno dla amerykańskich jak i europejskich lekarzy krzak wawrzynu zwanego Sassafras (*Laurus sassafras*), z gładkiemi, ciemnemi liśćmi, tudzież drzewo Tupeto (*Nissa biflora*), otoczone od spodu pnia gęsto rozkrzewionemi gałęźmi.

Najwyżej jednak pięły się liczne srebrzyste topole (*Populus argentea*) i wysokie na 180 stóp amerykańskie platany (*Platanus occidentalis*), o wysokich gładko zielonych pniach i bujnym rozroście gałęzi.

Z pośród gęstwiny zalatywały nieustanne krzyki dzięciołów i papug, których nieraz do 30 rodzin przebywa na jednym drzewie, a obok nieprzyjemnych wrzasków tak zwanego kociego ptaka, odzywał się zczęsta powabny spiew amerykańskiej pokrzywki, która pod względem siły i objętości głosu nie ma sobie równego pomiędzy ptakami, a przebiegając wszystkie tony od miękkiego spiewu drozda aż do krzyku orła, nadaje zawsze swemu własnemu, powabnemu spiewowi pewien wyraz ironiczny i przedrzyźniający.

Nie wszędzie jednak znajdywały się takie gęstwiny w pobliżu strumyków i gór wapiennych i nie wszędzie tak strome w pośród gór widać było rozpadliny. Po innych miejscach rzadziej rosły drzewa, a za to tem silniej w górę wybujała trzcina.

Niskie doliny pojawiały się rzadko, a nosiły pewien odrębny, właściwy sobie charakter. Na jedną z nich natrafili podróżni w dalszym pochodzie. Rozpościerała się za gęstym lasem, poza wysokiemi, stromemi i skalistemi brzegami rzeki, a zamknięta niejako dla wielkich zwierząt wyżyn, służyła innym za schronienie.

U brzegów rzeczki wyzierały tu zmyślne tamy i jeszcze zmyślniejsze mieszkania bobrów, które bezpieczne dotychczas w swem ukryciu, nie obawiały się żadnej napaści, i jak najswobodniej pluskały po wodzie.

Skwaterowie nie chcieli teraz bez potrzeby płoszyć i niepokoić zwierzęta, które na później hojne rokowały im zyski. Zdala tylko przypatrywali się ich igraszkom i nie dając ani jednego strzału puścili się w dalszą podróż.

Nieznośne w wschodniej części kraju upały złagodniały znacznie w tych okolicach, tylko w niejszych, gęstemi lasy zarosłych lub wapiennemi górami otoczonych dolinach, ciężyła wielce duszna i skwarna atmosfera. Po innych miejscach ochładzały powietrze wiatry i częste grzmoty z piorunami.

W lipcu i sierpniu okrywało się prawie co wieczór niebo czarnemi, szybko się zgromadzającemi chmurami. Wtedy wszystkie ptaki drapieżne umykają w lasy, a prócz jednego

drozda leśnego cichną naraz wszystkie leśne spiewaki. Tuż zaraz rozpasuje się burza. Na niebie rozlegają się grzmoty, błyskawica ściga błyskawicę, a grom bije po gromie. Ukryci raz pod konarami drzewa morwowego widzieli podróżni, jak olbrzymi dąb farbierski powalił się pod jednem uderzeniem pioruna, a drzazgi zeń na kilkadziesiąt stóp rozleciały sie w pobliżu.

Poźniejsi podróżni utrzymują, że w całem Kentucky nie masz ani jednego wielkiego drzewa, gdzieby przynajmniej raz nie ugodził piorun.

Każda burza przemija jednak bardzo prędko w tych stronach. W jednej chwili ucichają błyskawice, ustaje ulewa, a powietrze napełnia pewna świeżość orzeźwiająca.

Dotychczas rozpatrywali się tylko nasi skwaterowie po kraju, i badali jego szczególnych właściwości i zalet, teraz zaś chodziło już pomyśleć o korzyściach podróży.

Zgodzili się wszyscy aby zbudować w kraju wielką budę z drzewa, gdzieby na dłuższy czas można samym znaleźć schronienie a zarazem i przysposobić schowek na skóry upolowanych zwierząt, po które należało przybyć poźniej z końmi.

Boone tak od razu upodobał sobie w kraju, że powziął zaraz postanowienie osiedlić się w nim na zawsze. Naprzód jednak musiał powrócić do domu, aby zabrać swą rodzinę i pozyskać więcej osadników. Tymczasem miało trzech z nich powrócić do domu po konie, a dwóch pozostać w kraju i przygotowywać zapas skór.

Kiedy przyszło do budowy budy, wszczęły się nieporozumienia w gronie naszych skwaterów. Finley i francuz Jakob Moray uparli się, aby zamierzony budynek wznieść na pagórku w pobliżu opisanych powyżej bagien z solną ropą, bo w tem miejscu najwięcej dałoby się upolować zwierza.

Boone przyznawał pod tym względem słuszność twierdzeniu Finleya, lecz mimo to nie zgadzał się na wybór miejsca. Domyślać się bowiem, ze od czasu do czasu muszą tu zapędzać się myśliwskie szczepy indyjskie, przedstawiał roztropnie, ze w takim razie wielkie niebezpieczeństwo zagrażałoby budzie, bo Indyanie nadciągnęliby nie omylnie w pobliże bagien.

W ogóle zaś nie radził wznosić budę na pagórku, bo wzbijające się w górę kłęby dymu zdradzały z dala schronienie i mogły nawet z innych okolic przywabić Indyan.

Rozsądne przedstawienie Boonego nie znalazło uznania u reszty, bo uparty przy swojem Finley nie dał się przekonać żadną miarą a wszelkie zdanie przeciwne kładł na karb braku odwagi.

Dotknięty tym zarzutem Boone nie chciał się opierać dłużej, i wszyscy jęli zaraz budować silną i przestronną budę. W sześciu dniach stanęło rzeczywiście wygodne schronienie, a teraz dopiero zabrali się nasi podróżni do polowania, aby jak najwięcej skór wywieźć poźniej do ojczyzny.

Polowanie szło oczywiście jaknajpomyślniej, ale mimo to nie mógł Boone pogodzić się z obranem legowiskiem. Coraz jakoś czuł się niespokojniejszym w tem miejscu. Do tego widział, że Finley i jego przyjaciel Jakob Moray lekceważyli sobie wszelkie środki i względy ostrożności, rozniecali z prostej swawoli ogromne pożary, a zaufani w dotychczasowem bezpieczeństwie nie chcieli nawet zaciągać zwyczajnej straży w nocy.

Uprzykrzyły się zresztą Boonemu ciągłe swary i przymówki i pewnego dnia oświadczył otwarcie swym towarzyszom, że jeśli Finley i Moray nie powrócą do posłuszeństwa, będzie musiał opuścić budę i w innem miejscu szukać przytułku, bo nie myśli narażać się na niebezpieczeństwo nagłego napadu Indyan.

Z całego towarzystwa oświadczył się tylko jeden Stewart wyraźnie za naczelnikiem, reszta zachowała się bądź biernie, bądź przychylała się na stronę Finleya.

Niezachwiany w swem przedsięwzięciu pożegnał Boone niezwłocznie swych towarzyszy i z jednym tylko Stewartem opuścił budę, i udał się w głąb kraju. Od czasu do czasu przybywali tylko obadwaj do budy, aby złożyć w niej upolowane skóry a przyjmowani zawsze zimno i obojętnie, nie bawili nigdy długo w gronie dawnych uczestników wyprawy.

Odtąd też nie troszczy się już Boone o dalsze pomniejsze przygody swych towarzyszy, ale opisuje tylko własne swe koleje życia i spostrzeżenia.

Najmilej przesiadywał w wązkich dolinach, w zaroślach nad brzegami małych strumyków,

gdzie nie tylko bezpieczniej kłaść się na spoczynek, ale nie tyle także potrzebował obawiać się nocnych przymrozków zimowych, które się już właśnie podówczas rozpoczynały.

W dalszych swych wycieczkach w okolicy natrafił Boone z swym towarzyszem na małą dolinę nad rzeką Shawane, gdzie ich niespodziewane czekało odkrycie. Na niskim wyskoku pewnej skalistej ściany, zwilżonej wytryskującem zewnątrz źródłem, wznosiło się wielkie drzewo patanowe, to jest rodzaj orzecha, którego owoc przewyższa smakiem wszystkie inne. Właśnie też wtedy obfitował w dojrzały owoc, a Boone postanowił wyleźć na szczyt i strząsać orzechy, zaś Stewart miał je zbierać i trzebić z łuski na dole.

Zaledwie jednak wydrapał się Boone na szczyt drzewa, kiedy nagle nieruchomo utkwił oczy w przeciwległą ścianę skalistą, a po chwili spuścił się szybko na ziemię, i zaczął piąć się wzwyż skały.

Stewart pospieszył za nim, a niebawem stanęli obadwaj u wnijścia do pieczary, której skośnego otworu nie podobna było dojrzeć z dołu.

Byłato jedna z takich jaskiń, jakie nieraz na kilka mil objętości tworzą się w łonie gór wapiennych, a których ściany w najosobliwszych przedstawiają się kształtach.

Wszedłszy do środka ujrzał się Boone w ogromnej sali, a gdy zaraz rozłożył pośrodku ogień, nie posiadał się z zadziwienia i radości, spostrzegając, że dym nie osiadał w pieczarze ani też wymykał się głównym utworem, ale gnany lekkim powiewem wiatru, uchodził przez jakieś wązkie szczeliny w przeciwległej ścianie.

Odkryta ta przypadkiem jaskinia, głośna dziś pod nazwą jaskini Mamuta, miała odtąd służyć za bezpieczne schronienie obudwu oderwanym od reszty towarzyszy skwaterom.

Nie narażona na prąd wiatru, wolna od wszelkiej wilgoci, wydała się jakby z nieba zesłanym przytułkiem na zimę. Skośny otwór nie narażał do tego na łatwe odkrycie w razie napadu Indyan, dla większego jednak bezpieczeństwa przywlekli jeszcze obadwaj skwaterowie wielki kamień, którym dowoli mogli zasuwać wnijście.

Podziśdzień jeszcze stoi w pobliżu pieczary czczone jak relikwia drzewo, gdzie Boone na pamiątkę odkrycia nowego schronienia wyrył w korze rok 1769. i swoje imię i nazwisko.

Mając całą zimę przepędzić w Kentucky a dopiero z wiosną powrócić po swą rodzinę i więcej osadników do Wirginii, postanowili nasi dwaj skwaterowie urządzić się tymczasem na zimę.

Z pniaków drzewa wyrąbali sobie konewki na wodę i ropę solną, którą zaczerpywali nocą z pobliskich bagien solnych. Nie mając żadnego żelaznego naczynia, aby ugotować ropę, uzyskiwali sól w ten sposób, że na powietrzu lub w pobliżu ogniska dawali wysychać ropie, a krystaliczny osad zeskrobywali z dna i z ścian naczynia.

Musieli też zarazem zaopatrzyć się i w drzewo, a była to najmozolniejsza ze wszystkich praca, bo narębane na dworze polana potrzeba było mozolnie wlec do jaskini.

Chodziło także zaopatrzyć się w żywność owocową, bo samem mięsem trudno było żyć całą zimę. Uzbierali sobie też wielki zapas orzechów, bukwy i z żółtych dębów żołędzi, która szczególniej przypadła im do smaku i musiała niejako zastępywać chleb do potraw mięsnych.

Aby ulżyć sobie trudu, nie obtrzęsywali obfitsze drzewa, ale zrębywali je w pniu a potem wygodnie obrywali na ziemi. Nagromadzone orzechy i inne owoce składali do worka z skór jelenich, które zszywali wysuszonemi kiszkami jeleni, a spajali w górze spiczastą kością któregoś z upolowanych zwierząt.

Śród takiego ciągłego zatrudnienia mijał prędko czas naszym skwaterom, a polowanie służyło im tylko za rodzaj rozrywki i wypoczynku po zwyczajnej pracy.

W owym czasie przestali już strzelać jelenie, a natomiast uganiali za niedźwiedziami, które spasione wonnemi korzonkami i jagodami sierpniowemi, smaczne dawały mięso.

Ślad niedźwiedzi można było łatwo odszukać i bez psów gończych, bo zwyczajnie z najgęstszych zarośli trzciny wychodziły w pewne tylko ulubione miejsca gasić pragnienie, jak niemniej przebywały zawsze w okolicach, obfitujących w owoce i jagody.

Zwyczajnie też zasiadali nasi dwaj skwaterowie w kilka godzin po południu w pewnych miejscach nad rzeką, gdzie o stałej godzinie stawiły się nieomylnie czarne jak kruki niedzwiedzie. Biegły zawsze bez oba-

wy do wody i zawsze po dwóch zostawało na placu.

Czasami wychodzili znowu podróżni bardzo rano lub pożno w wieczór w miejsca, gdzie przybywały niedźwiedzie za owocami i jagodami. Przychodziło ich zawsze po kilku, a widząc ich niezgrabne opasłe tułowy, dziwić się wypadało zwinności, z jaką na najwyższe piętry się drzewa, najdalsze odłamywały gałązki.

Lubo polowanie na niedźwiedzie często na niemałe naraża niebezpieczeństwo, nie doznali przecież obadwaj najmniejszego nigdy przypadku, a tyle w krótkim czasie upolowali zwierzów, że mięso ich musieli zasalać w sporządzonych na prędce faskach drewnianych.

W pośród tego nadeszła wreszcie zima.

Nie byłato jednak zima według naszego wyobrażenia. Klimat w Kentucky jest bardzo łagodny. Lekkie przymrozki w nocy a czasami kilkogodzinna powłoka śniegu na ziemi są jedynemi znamionami zimy. Białe dęby tudzież inne drzewa i krzewy nie opadają wcale z liści, a trzcina zieleni się zawsze jak w lecie. W wązkich zaś dolinach nad brzegami strumyków, gdzie w lecie nieznośna panuje spiekota, nastaje w zimie tak znowu przyjemna i łagodna temperatura, że rośliny i kwiaty kwitną i bujają jak w cieplarni.

Ptactwa nie zbywa w gęstwinach jak w letniej porze. Wiele ptaków odlatuje wprawdzie w południowe strony, ale za to inne przybywają na zimę do Kentucky i uzupełniają ogólny ubytek. Jednem słowem w błogosławionym tym kraju bardzo mała tylko różnica daje się spostrzegać między zimą a latem, lubo każda pora ma i tutaj swoje właściwe powaby i przyjemności.

Nasi skwaterowie nie ustawali w zwyczajnym trybie życia. Mając teraz wygodne własne schronienie, nie znosili już swych skór do wystawionej gdzieindziej budy i nie stykali się wcale z dawnymi towarzyszami.

Ale śród tego ciężka i nieprzewidziana czekała ich obu przygoda.

(d. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Lwów R. 1659.

Akt ostatniej woli Anny z Kazanowa Krzeczowskiej Stolnikowy Przemyslskiej.

Actum in Castro Inferiori Leopoliensi, Feriâ Sextâ, post Festum Sanctae Hedwigis Viduae Electae Dei proximâ Anno Domini **Millesimo Sexcentesimo, Quinquagesimo Nono.**

Ad Officium et Acta praesentia Castre(n)sia Cap(ita)nealia Leopolie(n)sia personaliter veniens Nobilis Christophorus Protman nomine et ex fratre G(e)n(er)osae Annae de Kazanow [1]) G(e)n(er)osi olim Andreae de Sien-

Działo się na niższym zamku Lwowskim, w piątek następujący po uroczystości świętej Jadwigi Wdowy i Wybranej Boga roku Pańskiego **Tysiąc Sześćset Pięćdziesiątego Dziewiątego.**

Do Urzędu i ksiąg grodzkich starostwa Lwowskiego osobiście przyszedłszy szlachetny Krzysztof Protman, przedłożył temuż urzędowi, i do zapisania w księgi podał w imieniu: ze strony urodzonej Anny z Ka-

[1]) Kazanowscy, przemożna rodzina w Polsce w pierwszej połowie XVII. wieku, z włoskiego pochodzenia komesów medyolańskich di Casanova wywodząca się, wzbiła się za rządów Zygmunta III. i Władysława IV. do silnego u dworu i rzeczypospolitej znaczenia. Głową i początkiem wyniesienia się tego domu stał się Zygmunt Grzymałczyk Kazanowski pułkownik, a w końcu podkomorzy koronny. — Z szczodrobliwości królewskiej otrzymał Kazanowski Marcin starostwa bohusławskie, zwinogrodzkie, tłumackie, przedborskie i niżyńskie; został później kasztelanem halickim, potem r. 1632 wojewodą podolskim i hetmanem

no Krzeczowski Dapiferi Przemyslie(n)sis Consortis relictae, obtulit eidem Officio, et ad acticandum porrexit, Testamentum ultimae voluntatis praefatae G(e)n(er)osae Testatricis, quam et infranscriptorum Nobilium proprijs subscriptum, petens hoc idem Testamentum ad Acta praesentia suscipi et ingrossari permitti. Cujus licitae Postulationi Officium praesens annuendo, illud pro debito Officij sui, uti sanum, salvum et illaesu(m) omnique suspicionis notâ cavens suscepit et actis inscribi mandavit. Cujus Testamenti tenor sequitur talis.

zanowa, urodzonego niegdyś Jędrzeja z Sienna Krzeczowskiego stolnika przemyskiego pozostałej małżonki akt ostatniej woli wyżej wspomnionej rodowitej Krzeczowskiej, rękami rodowitej testatorki i niżej wyrażonych szlachetnych podpisany, z żądaniem aby tenże testament do ksiąg przyjąć i wciągnąć dozwolono. Do tej słusznej prośby urząd z powinności swej się przychylając, tenże akt jako całkowity, nienaruszony, nieuszkodzony i od wszelkiego podejrzenia wolny, przyjął i do ksiąg wciągnąć rozkazał. Którego to testamentu osnowa brzmi jak następuje:

W Imie Panskie Amen. Ja Anna z Kazanowa Krzeczowska pozostała małżonka nieboszczyka Swiętey pamięci Pana Andrzeia z Siennowa Krzeczowskiego Stolnika Przemyślskiego, bacząc się w tym dobrze, że nie masz nic obłudniejszego nad swiat a pewniejszego nad smierć, przeto ia wziąwszy sobie przed Oczy Maiestat Boga Wszechmogącego, ktoregom często obrażała, oswiadczam się przed Bogiem w Troycy Swiętey Jedynym, Naswiętszą Panną Maria, y wszystkim Dworem Niebieskim, ze w teyże Wierze Swiętey Katholickiey, w ktorey sie urodziłam, zywot swoy pokładac y konczyc chcę, maiąc nadzieię pewną ze Bog miłosierny na wiarę moią weyrzawszy, a wprzod na zasługi Syna swego vkochanego, Zbawiciela mego, bedze mi Panem Miłosiernym, ktory mię stworzywszy nie tylko dla tego, abym była na swiecie, ale abym przy rozumie dobrym zyiąc, temi dobrami, które mi do szafowania Tworca Naywyższy podać raczył, dobrze szafowała y czasu dokończenia zywota moiego, gdy mi na on straszliwy Trybunał Sądu swego stanąc każe, aby się ze mną rachował z tych Talentow, mnie wedle kondyciey moiey powierzonych, rachunek mogła oddac, gotowa była, taki Porządek y ostatnią Wole moią czynię, ktora aby się nie mieniła niżey wypisanego Testamentu, pokornie prosze y przez Miłosierdzie Boże Sądem Bozym obowiązuie. A iż wedle Ugody z Ich M(os)Ciami Pany Krzeczowskiemi pomienionego niegdy Swietey pamięci Małżonka mego Sukcessorami z Łaski Boga mego dostały mi się pewne Summy pieniężne. Pierwsza Summa Trzydziesci Tysięcy y ieden Złotych Polskich na Maiętnosciach w Zydaczowskim Powiecie leżących to jest, na Wsiach Czeremchowie, Kniazłoce, Lipie, Nowosielcy, y na pewnych czesciach we Wsiach Hoszowie y Rostoczkach modo obligatorio zapisane, mnie y Swiętey pamięci Nieboszczykowi Małzonkowi służące, iako o tym szerzey Zapisy swiadczą. Druga Summa Pułczwarta Tysiąca u pomienionych Ich M(os)Ciow Panow Krzeczowskich Intercizą zapisana, o czym Interciza szerzey opiewa. Trzecia Summa Osmnascieset Złotych Polskich we Lwowie na kamienicy Głuszkowicowskiey na Ormianskiey Vlicy, takze sposobem zastawnym przed Vrzędem Lwowskim zapisana; których Summ wszystkich, iako byłam przed tym, tak y teraz vzywaniu, ktorych taką czynie dysposicią: Naprzod zem dług Oycom Karmelitom Bohuszowieckim, była winna Pięc tysięcy Złotych Polskich, tych za Łaską Bozą iuzem vspokoiła, y kwit cale y dostatecznie otrzymałam. (d. c. n.)

---

polnym koronnym, umarł r. 1636, dożywszy lat 73. Stanisław Kazanowski otrzymał starostwo krosieńskie i przedborskie. Szczęśliwszy był młodszy brat jego Adam, ulubieniec Władysława, do najwyższego wzniósł się znaczenia, otrzymał starostwa kosienieckie, borysowskie, bielskie, soleckie, nowotarskie, krosienieckie, wareckie, pan dziedziczny jak pisze arcybiskup lwowski Solikowski, na Czasnikach, Czepielowie i Pradze nad Wisłą, ożeniony na Litwie r. 1634. z wojewodzianką trocką Elżbietą Słuszczanką. Wiadomo, że z Włoch ród swój wywodzi wiele w Polsce zasłużonych familij; dzisiejsi herbu kolumna „Colonna“ mienią się potomkami patrycyuszów starożytnego Rzymu.

Ptaki przelotne w zamorskich wędrówkach.

Jastrzębie i sokoły nie liczą się zwyczajnie do ptaków przelotnych — opowiada pewien marynarz w *Chambers-Journal* — a przecież nie podlega żadnej wątpliwości, że odbywają czasami wędrówkę przez morze środziemne, i to przez najszersze jego miejsca. Przelatują też zarówno z Afryki do Europy jak i na odwrót z Europy do Afryki.

Pewnego dnia letniego, stojąc z okrętem naszym w półdrogi między morzem Marmora a Grecyą, spostrzegliśmy takzwanego „złotego sokoła“, jak szybując raźnie od południa, spuścił się nagle na jeden z naszych słupów żaglowych. Wnieśliśmy zaraz, że chce w naszem towarzystwie dostać się do Europy, bo widocznie na dłuższy wypoczynek rozgościł się na szczycie masztu.

Marynarzom tak rzadko nawija się gość w pośrodku morza, że nie posiadają się z radości, jak tylko załoga o jakiekolwiek żyjące pomnoży się stworzenie. Jeden z młodszych majtków postanowił uprosić sokoła, aby spuścił się na dół i zajął miejsce w gronie reszty towarzystwa. Znużony podróżą ptak, pozwolił z łatwością zbliżyć się do siebie na szczyt słupa, a nawet pochwycony znienacka nie stawił żadnego oporu, i kiedy stanął na pokładzie obzierał się do koła bez trwogi, możnaby powiedzieć z pewnym rodzajem radości. Być może, że to zapach mięsiwa napawał go taką otuchą, bo kiedyśmy mu podsunęli cokolwiek strawy rzucił się na nią z niesłychaną żarłocznością. Zdawało nam się ztąd, że przyjemność jego towarzystwa zawdzięczaliśmy więcej silnemu głodowi niż znużeniu.

Nakarmiwszy go do sytu w pierwszej zaraz chwili, pozostawiliśmy mu wolność zupełną, ale nie chciał jakoś z niej korzystać, bo do dziesięciu dni pozostał na okręcie. Przesiadywał wnet na tylnym wnet na przednim pokładzie okrętu, a pieszczony i karmiony od wszystkich, zdawał się być łagodny i łaskawy jak kotek. Przyjmował strawę z rąk każdego, a niektórzy ośmielali się nawet głaskać go po szerokiej pstrokatej piersi, choć to zawsze z niemałem łączyło się niebezpieczeństwem, bo miał straszne pazury i straszniejszy jeszcze dziób.

Lecz niestety nie długo mieliśmy się bawić jego towarzystwem. Zbliżaliśmy się coraz więcej do lądu a pewnego dnia ukazała się już oczom naszym góra Etna, co pnąc się na dziesięć tysięcy stóp ku niebu, wygląda zdala w swym śnieżnym turbanie jak olbrzymia na jednem miejscu przykuta chmura!

Sokoł ujrzał ją zapewne o wiele prędzej od nas, ale zawdzięczając nam tyle dowodów uprzejmości, nie mógł bez żalu i walki stargać węzły zawartej z nami przyjaźni. Przemogły jednak rychło popędy natury i zamiłowanie w wolności. Wzniósł się nagle w powietrze, i okrążywszy okręt nasz trzykrotnie, jakgdyby tym sposobem pragnął pożegnać nas na zawsze, pomknął jak strzała w górę i zniknął niebawem zupełnie w bezmiernej dali.

Niebraliśmy mu za złe ucieczki, lubo długo jeszcze nie mogliśmy przeżałować jego straty.

Wielu z starych marynarzy holenderskich unoszą z sobą i na morze rodzinne zamiłowanie w uprawie kwiatów. Ustawiają na pokładzie okrętu długie, ziemią napełnione donice, i zasiewają rzeżuchę i inne rozmaite rodzaje sałat. Często też bystry wzrok przelatujących górą ptaków dopatrzy zdala tych drobnych smug zielonych, a wtedy chyżo spuszczają się na dół, aby przypatrzyć się lepiej tak niespodziewanemu na morzu zjawisku.

Najczęściej jednak zwiedzają ptaki przelotne okręta z tych samych przyczyn, z jakich my śród podróży zajeżdżamy do karczem przydrożnych i domów gościnnych — oto długą i zmudną odbywając podróż, uczuwają naraz potrzebę wypocząć na chwilę.

Inaczej jednak tłumaczą sobie majtkowie wszelkie zjawienie się ptaków na okręcie, na żaglach i powrozach masztu, poczytują je na podstawie odwiecznego zabobonu za nieomylne wróżby bliskiej burzy morskiej. A i rozsądni nawet podróżni pozwolą się nieraz uwieść podobnemu zdaniu, ufając zanadto opowiadaniom starych majtków, zawsze prawie pełnych uprzedzenia i zabobonu.

Pewien badacz przyrody spostrzegł był na okręcie podczas podróży po morzu baltyckiem małą, siwawą ptaszynę z rodzaju wróbli, i

zaraz otrzymał od kapitana zapewnienie, że niechybnie będą mieli burzy. W samej rzeczy, w godzinie niespełna powstała burza, zawrzało morze, a wzdęte bałwany rozhukały się do niezwyczajnej gwałtowności. Tensam autor upewnia, że na morzu północnem, baltyckiem i u wybrzeży hiszpańskich poczytują żeglarze każdego ptaka bez wyjątku za zwiastuna burzy, z czego wyprowadza, że nie sama tylko mewa posiada własność przeczuwać burzę.

Badacze przyrody zrobili spostrzeżenie, że skały gibraltarskie służą na wiosnę i w jesieni za miejsce zebrania pewnemu rodzajowi angielskich ptaków letnich. Niechcąc narażać się na długą podróż morską, przelatują ztąd z skały na skałę, a następnie z lasu do lasu od hrabstwa Kentu lub Sussex aż do najdalszych krańców Andaluzyi, a w ten tylko sposób można sobie wytłumaczyć, że tak daleką podróż mogą odbyć o swych niewielkich i niebardzo do lotu nadających sie skrzydłach. Jeśli śród morza zaskoczy ich burza, to zapędzone najczęściej w pobliże okrętów strażnic lub skał, giną gromadami od silnego uderzenia o ściany szkopuł lub samych strażnic.

Słowików zaliczają powszechnie do ptaków przelotnych, a przecież nie zdarzyło sie dotychczas nigdy, aby się pojawiły gdzie na pokładzie okrętu. Pewna jednak, że z Europy przez morze śródziemne lecą do Afryki, bo pora, kiedy znachodzą się nagle u północnych stoków Atlasu, odpowiada ściśle czasowi, kiedy znikają z naszych stron.

Zauważano podobnież, że słowik, *bulbul*, w Persyi spiewa właśnie w tych miesiącach, kiedy u nas pogrążył się już w milczenie. Podróż do Azyi wzdłuż powabnych dolin Rumelii i małej Azyi nie nasuwa słowikom wielkich trudności, wszakże do państw korsarskich nie może dostać sie inaczej jak przez morze. Zapewne też zalatują na skały gibraltarskie, a ztamtąd udają się wprost do Marokko. Tego zdania są prawie wszyscy ornitologowie, jak niemniej i tego, że podróż do Anglii odbywają przez najwęższą część Kanału, i w tem niezawodnie leży przyczyna, że nie zagaszczają w zachodnie strony Anglii mianowicie do hrabstw Dewonshire i Cornwalis, lubo obok tego nie mało jeszcze musi odstreczać ich od tych okolic brak odpowiedniej żywności.

Żeglarze po indyjskim oceanie spostrzegają nieraz na swych okrętach nieznane ptaki o pstrem pierzu i to w takiej odległości od lądu wpośród morza, że nie mając jawnych dowodów, niepodobna by nawet uwierzyć, aby o własnych siłach tak daleką mogły odbyć podróż.

(d. c. n.)

Peryodyczna prasa rosyjska wzbogaca sie z każdym dniem nowemi publikacyami. Najcelniejszą z nich jest nowy dziennik humorystyczny *Iskra*. Zaczął wychodzić w Petersburgu od nowego roku rosyjskiego pod redakcyą N. Stepanowa i W. Kuroczkina. Każdy numer tygodniowy zawiera kilka rycin, które nieraz prawdziwym odznaczają się dowcipem, jak to widać z illustracyi, opisanej na przykład w *Gazecie warszawskiej*. Drugą ważniejszą publikacyą jest *Galerya typów Gogolowskich*, wydawana przez Boklewskiego. Wychodzi w Moskwie w sporych zeszytach. Czternaście tablic wielkiego rozmiaru stanowią zeszyt pierwszy i przedstawiają typy z znanej komedyi Gogola: *Rewizor*, tłumaczonej na język polski, niemiecki i francuski. Rysunki wykonał na kamieniu Pugowoszników.

— Piękną osobliwością zapowiada się miasto Augsburg, czyli raczej piękną osobliwość z średnich wieków zamyśla przywołać u siebie w pamięć tem, że wznawia freski znadworu po domach. Książę Fugger-Babenhausen rozkazał gmach pałacu swego od ulicy Maxymiliana malować w freski, z dziejów Augsburga dobrane, a z zapału artystów wróżyć można, że do roku stanie większa cześć murów w pięknych monumentalnych dekoracyach. Miał Augsburg wiele podobnych domów strojnych w ozdoby sztuki malarskiej, ale odkad postradał swobody wolnego miasta, padła pleśń na nie, i zacierały się coraz bardziej, im bardziej pargamina dawnej wolności butwiały. Nadzieja teraz, że za przykładem odżyje obyczaj dawny, i miasto wystąpi w dawnej okazałości.

— Pomiędzy różnemi szczególniejszemi godnościami w Munghir w Bengalii, znajdował się także urząd „*Najwyższego usuwacza przeszkód.*“ Taki urząd przydałby się niezawodnie i w naszej cywilizowanej Europie, byle tylko znalazł się kto, coby śmiał i chciał podjąć się przywiązanych do niego obowiązków.

— W roku bieżącym wychodzi w Szwajcaryi 260 pism peryodycznych, a mianowicie 181 w języku niemieckim, 70 w francuskim, 7 po włosku, a 2 po romańsku. Z dzienników codziennych przypada jeden francuski na 18.695 mieszkańców, jeden niemiecki na 29.588, jeden włoski na 50.297, a jeden rumański na 148.596 mieszkańców.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*